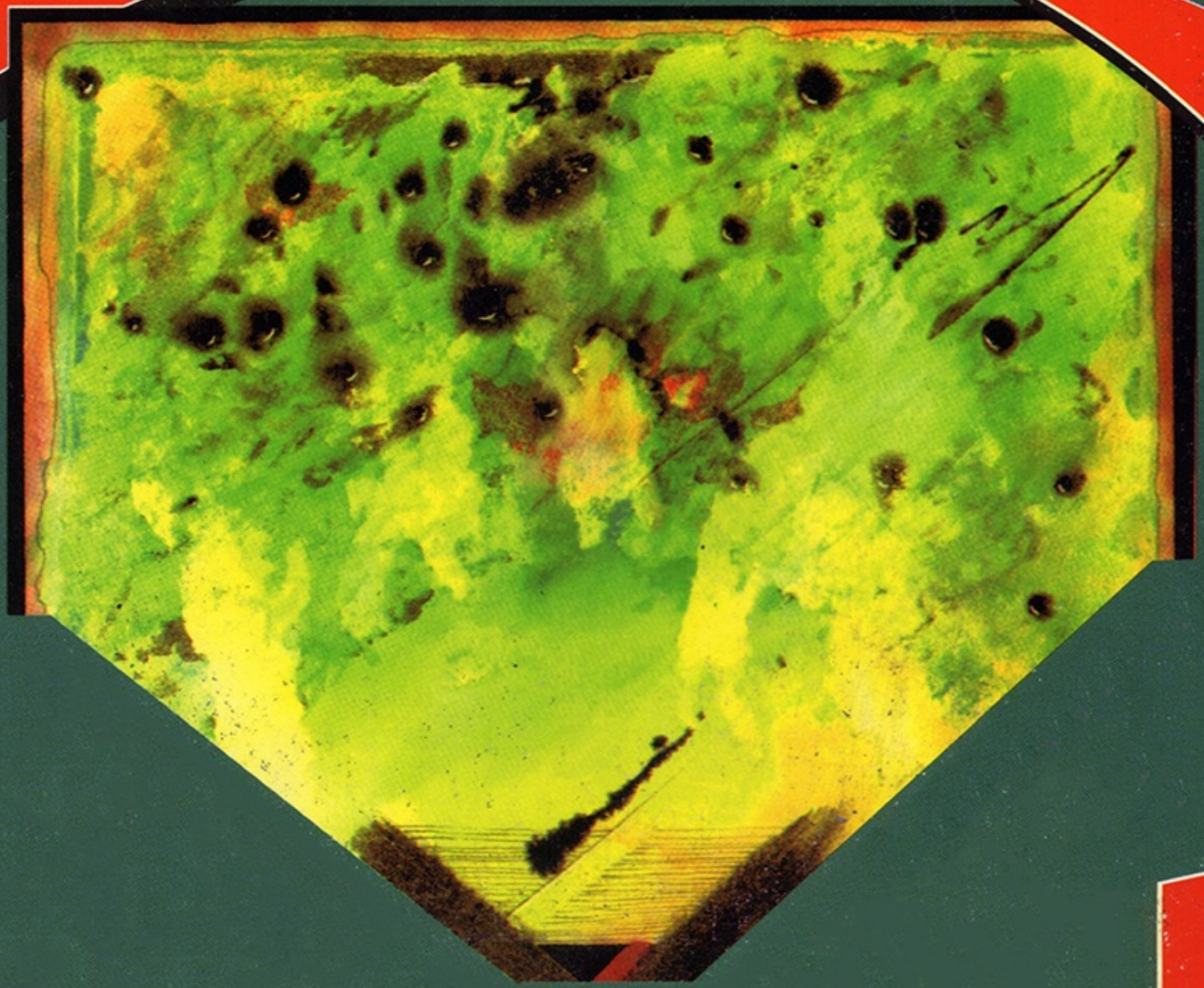
MIROSŁAW PRANDOTA

# ŁAŃCUCH KRWI



1

Mirosław Prandota

# „Łańcuch krwi" Część I – „Poszukiwany major Błysk"

Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Mirosław Prandota
„Łańcuch krwi” Część I – „Poszukiwany major Błysk”

Copyright © by Mirosław Prandota, 1995
Copyright © by Wydawnictwo Profi, 1995
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie
może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor serii: Andrzej Kaźmierczak
Redaktor techniczny: Michał Grom
Redaktor wydania: Barbara Grzywińska-Doktór
Projekt graficzny okładki: Andrzej Włoszczański
Autor ilustracji: Wacław Wołosz
Korekta graficzna okładki: Jakub Kleczkowski
Skład epub i mobi: Kamil Skitek

ISBN: 978-83-8119-216-3

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
http://www.psychoskok.pl/

http://wydawnictwo.psychoskok.pl/
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

# Rozdział 1.



Schody były wąskie i oślizłe. Wilgotne poręcze sprawiały

równie nieprzyjemne wrażenie. Trzeba było opierać się o ścianę lub o wiszący nad głową sufit.

Hauptsturmfuehrer Fuller ostrożnie schodził w dół. Z obrzydzeniem krzywił twarz, kiedy jego wzrok trafiał akurat na ogromne plamy pleśni zalegającej podmokłe ściany. Miał na sobie elegancki mundur oraz błyszczące buty z cholewami i cała jego uwaga sprowadzała się właściwie do tego, by ten osobisty wystrój nie doznał najmniejszego uszczerbku podczas uciążliwej wędrówki. Tak naprawdę to wcale nie kwapił się do odwiedzenia najniższych partii budynku, ale rozpierająca go w ostatnim czasie ciekawość ciążyła tak mocno, że nie sposób było uniknąć zejścia do zagrzybionego piekiełka.

Piekiełko rozpoczynało się zaraz za schodami. Wzdłuż niekończącego się prawie korytarza ciągnął się długi szereg wąskich, metalowych drzwi, przyozdobionych niewielkimi judaszami pokrytymi rdzą. Na samej górze widniały ręcznie malowane numery. Od jednego do sześćdziesięciu.

Hauptsturmfuehrer dość zgrabnie omijał wgłębienia cementowej posadzki wypełnione wodą, przeciskając się obok jednej ze ścian lub maszerując środkiem. Oświetlenie pod sufitem nie pozwalało tu wprawdzie na lekturę pisemnych komunikatów z frontu wschodniego, ale malowane czerwoną farbą cyfry były wyraźnie dostrzegalne. Numer 34. Fuller ściągnął dostojnie brwi, wyprostował się i poprawił czapkę na głowie. Za tymi drzwiami był ktoś, kto swoją obecnością gwarantował Fullerowi z dawna oczekiwany żelazny krzyż. To wysokie wojskowe odznaczenie miało przecież nastąpić niebawem, podczas zapowiedzianej w najbliższym czasie wizyty viceszefa SS, Kurta Adlera.

Bezszelestnie uchylił klapy judasza. Tyłem do wejścia stał ciemnowłosy mężczyzna średniego wzrostu, ubrany w spodnie i bluzę z zielonego sukna. Jego lewa ręka spoczywała luźno na temblaku skleconym z wypłowiałego szalika.

Pierś hauptfuehrera uniosła się dumą. Oto człowiek, na którego polował od półtora roku! Człowiek, który nie dawał mu spokojnie spać, śnił się po nocach! Człowiek... Fuller uśmiechnął się do swoich myśli. Ha! Przecież wystarczy tylko jedno naciśnięcie spustu.

Tamten obrócił się gwałtownie. Fuller cofnął się odruchowo i natychmiast ogarnęła go złość na samego siebie. Do stu diabłów! Dobrze, że więzień tego nie widzi. Pomyślałby złośliwie, że komendant ze strachu robi w spodnie.

Zajrzał znowu do środka. Chyba nie został zauważony, bo człowiek z ręką na temblaku rozpoczął właśnie spacer. Trzy kroki do przodu i trzy kroki z powrotem. No cóż? Tyle jest akurat od drzwi do niewielkiego okienka wzmocnionego kratą. Fuller wpił się spojrzeniem w twarz więźnia. Szara ta twarz. Ha! Gdzie podział się ironiczny uśmieszek i pewna siebie mina? Jak bardzo opadła wysunięta dumnie szczęka! Gdzie przepadł cały "kowbojski" szpan, przed którym jeszcze niedawno drżał powiatowy batalion SS a także żołnierze z Wehrmachtu?

Hauptsturmfuehrer sycił się widokiem twarzy, która już niedługo zgaśnie raz na zawsze. A swoją drogą skąd tyle zmarszczek i bruzd na twarzy czterdziestoletniego zaledwie mężczyzny? Czyżby aż takie zmiany mogło sprawić poczucie przegranej?

Patrzył, uśmiechał się sam do siebie i oddychał głęboko. Tyle

szczęścia w jednym wizjerze! A gdyby tak otworzyć celę? Gdyby zrobić szeroki zamach i prasnąć z całej siły w tę znienawidzoną twarz?

Westchnął ciężko i zaraz się uspokoił. Nie, takich rzeczy nie wolno robić! W jednej chwili utraciłoby się całą godność i cały autorytet. A zresztą od walenia po twarzy są inni. Hauptsturmfuehrer nie ma nic przeciwko waleniu po twarzy, jeżeli jest taka potrzeba, ale osobiście robić tego nie wypada. Natomiast chętnie wystąpi jako widz. Będzie mniej fatygi, ale za to więcej emocji.

Na palcach odstąpił od drzwi celi. Dostojnie ruszył w kierunku schodów, kiwnął niedbale głową salutującemu strażnikowi, wdrapał się szybko na górę i dalej szedł już swobodnie po wypastowanym parkiecie wzdłuż ścian pokrytych obrazami i ozdobną grafiką.

Gabinet Fullera mieścił się na pierwszym piętrze zabytkowego ratusza stanowiącego niegdyś reprezentacyjny gmach powiatowego miasta Zieleniec. Od czterech lat nie ma już Zieleńca. Od czterech lat miasto nazywa się Grinau, a patronem i zwierzchnikiem wszystkiego co żyje jest Hans Fuller, oficer SS.

Kiedy hauptsturmfuehrer Fuller wstanie zza biurka i podejdzie do drzwi prowadzących na balkon, jego twarz nabierze słodyczy i ukojenia. Trudno się Fullerowi dziwić. Naprzeciwko jego patronackiej osoby, w odległości mniej więcej dwustu metrów stał długi ciąg koszar wybudowanych częściowo przed wojną, a częściowo teraz przez miejscowych murarzy pod batutą niemieckich inżynierów. Z okien ratusza widać było połysk luf armatnich, kilka czołgów pokrytych maskującymi siatkami

a także dwa gniazda ciężkich karabinów maszynowych, wbudowane w płaskie dachy budynków.

Za koszarami wyrastał las okalający do połowy miasto. Po drugiej stronie ratusza natomiast rozpościerały się ulice i uliczki wypełnione parterowymi albo co najwyżej jednopiętrowymi budynkami z grubych desek, gdzieniegdzie z cegły. Jeszcze dalej widać było wstęgę rzeczki a na horyzoncie bezkresną przestrzeń łąki pociętej wzdłuż i wszerz rowami i strumieniami.

Hauptsturmfuehrer Fuller czuł się znakomicie. Jak pan na grodzisku. Wystarczyło przecież przejść się z jednego końca pokoju w drugi, wyjrzeć przez okno i - całe miasto od lasu aż po łąki miało się w zasięgu wzroku. Gdyby jednak hauptsturmfuehrer czegoś nie zdołał zauważyć, czegoś, co akurat nie powinno ujść jego kontroli, wówczas odpowiedzialność pozostawała w rękach czterech ludzi koczujących dniem i nocą na rozległym dachu dwupiętrowego ratusza. Tam również mieściły się gniazda ciężkich karabinów maszynowych, schowanych za pancerne osłony odnawiane co jakiś czas na kolor zgniłej zieleni.

Gdzieś w odległych rejonach bandy leśne napadały na niemieckie posterunki, zdobywały małe miasteczka i zabijały Niemców.

Ale tu, w Grinau, w mieście Hansa Fullera panował spokój, no... względny spokój... bo trzykrotnie zdarzyły się pewne incydenty, które nadwerężyły znakomitą renomę Fullera w odległej o 80 kilometrów stąd władzy wojewódzkiej.

Sprawcą tych, za przeproszeniem, incydentów była banda, która przyplątała się nie wiadomo skąd i nie wiadomo po co. Bandyci nie grzeszyli rozumem, bo przecież wszyscy wiedzą, że

Grinau to prawie twierdza i nikt obcy nie ma tu nic do roboty. Do trzech razy sztuka! Za trzecim razem wpadł Kowboj. Podobno ludzie w odległych wsiach układali pieśni na jego cześć. Jeżeli tak, to dlaczego opuścił tamto zacisze? Tutaj nie tylko nie będzie pieśni, nie będzie nawet hymnu pogrzebowego. Będzie jeden wystrzał i ewentualna poprawka. Co będzie później? A cóż może być? Spokój.

Swięty spokój! Hauptsturmfuehrer Hans Fuller najbardziej ze wszystkiego cenił sobie spokój.

Pukanie do drzwi rozsypało nagle wszystkie, misternie poukładane myśli Fullera. Gniewnym spojrzeniem ogarnął cały pokój.

- Wejść! - powiedział ostro.

Wszedł młody człowiek w mundurze podporucznika Wehrmachtu.

Oczy hauptsturmfuehrera momentalnie nabrały ciepłego wyrazu. Wy- ciągnął obie ręce do gościa.

- Witaj, synu! - zawołał serdecznie i wyszedł zza biurka.

Młody człowiek objął Fullera, uściskali się mocno i długą chwilę trwali tak w milczeniu.

- Trudno tu trafić, ojcze - odezwał się wreszcie podporucznik. - Piękne miasteczko! I takie spokojne. - Rzucił okiem w stronę balkonu. - O wiele spokojniejsze, niż te wszystkie miejscowości, przez które przeszedłem na Litwie.

Ojciec gestem wskazał mu fotel. Usiedli obaj.

- Na długo przyjechałeś?

- Mam miesiąc urlopu.

- Aż tyle?

Syn z dumą wskazał na swoją pierś. Dopiero teraz hauptsturmfuehrer zauważył żelazny krzyż.

- Gratulacje, Otto! - zawołał z dumą. - Powiedz szybko, czego dokonałeś!

- Rozbiłem trzykrotnie silniejszy batalion czołgów rosyjskich. Dzięki temu umożliwiłem całemu naszemu pułkowi dokończyć budowę mostu i pokonać rzekę w zasadzie bez strat.

- Wspaniale, Otto! - zakrzyknął hauptsturmfuehrer raz jeszcze, zmrużył oczy, zastanowił się krótko i zapytał rzeczowo:

- Jak tam jest, Otto? Bardzo gorąco?

Syn wybuchnął wesołym śmiechem.

- Ociepliło się, ojcze! Mamy kwiecień! Ale...

Spoważniał nagle.

- No! Mów!

- Cofamy się na całym froncie.

Hans Fuller aż poderwał się z fotela.

- Nie wydaje ci się, że jest to strategiczne przegrupowanie?

- Z pewnością. Gdyby nie ta strategia, byłoby dwa razy więcej grobów.

Po twarzy hauptsturmfuehrera przebiegł cień niezadowolenia.

- I ty to mówisz? Oficer odznaczony żelaznym krzyżem?

Syn wydobył srebrną papierośnicę z kieszeni.

- Zapalisz?

Ojciec pokręcił głową. Syn wsunął papierosa do ust, pstryknął zapalniczką. Zaciągnął się gwałtownie dymem i dopiero wtedy odwrócił twarz do ojca.

- Wojna nie polega tylko na strzelaniu, ojcze - powiedział

spokojnie. - Niektórzy jeszcze myślą.

- O czym? - zapytał gwałtownie Fuller.

- O przyszłości.

- Chyba nie zamierzasz zdezerterować? - głos patrona miasta Grinau zadrżał maskowanym gniewem. - Byłoby to...

Syn wyprostował się z błyskiem w oczach.

- Jestem żołnierzem niemieckim, ojcze! Nie zapominam o tym! Walczę i będę walczył, bo taka jest potrzeba chwili, ale nie pozwolę sobie założyć czarnej opaski na oczy. Na froncie wschodnim ludzie, którzy nie zdążyli jeszcze zginąć, rodzą się na nowo.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ja tu bąki zbijam? - z żalem odezwał się ojciec.

- Tego nie mówię. Każdy ma swoje miejsce.

- Może wydaje ci się, że tutaj panuje sielanka?

Otto po raz pierwszy uśmiechnął się ironicznie. Hauptsturmfuehrer dostrzegł ten uśmiech i poczuł nerwowe kłucie w sercu.

Zacisnął mocno dłonie i zdecydowanie zawołał:

- Zaraz poznasz człowieka z drugiej strony barykady. Uparł się zdobyć Grinau.

Otto uniósł brwi ze zdumieniem.

- Co takiego?

Ojciec nacisnął w odpowiedzi przycisk na biurku. Drzwi otworzyły się, z trzaskiem obcasów wpadł ordynans.

- Herr hauptsturmfuehrer!...

- Przyprowadzić Kowboja!

- Jawohl! - żołnierz zrobił w tył zwrot, ale zatrzymał się i wrócił do poprzedniej pozycji.

- Co jeszcze? - zapytał Fuller.

- Herr hauptsturmfuehrer...

- Mów.

- Kajdanki założyć?

Fuller szybko przebiegł wzrokiem po twarzy syna.

- Zgłupiałeś? - ofuknął ordynansa. - Przecież ma rękę na temblaku!

- Jawohl!

- Cóż to za monstrum, że trzeba je wprowadzać w kajdankach? - zapytał Otto po wyjściu żołnierza.

Fuller chrząknął i spróbował uśmiechnąć się.

- Mówią o nim, że groźny. Legenda regionu! - dorzucił z przekąsem.

- Wspaniale! - ucieszył się syn. - Żołnierz?

- Bandyta.

- Chętnie go obejrzę. Legenda regionu!... - powtórzył kręcąc z zainteresowaniem głową.

Odwrócili się jednocześnie, bo rozległo się mocne pukanie.

- Wejść! Pierwszy wszedł uzbrojony w automat strażnik, za nim więzień, którego niedawno oglądał przez wizjer hauptsturmfuehrer, a z tyłu jeszcze jeden strażnik uzbrojony tak samo jak pierwszy.

Otto wpatrzył się z ciekawością w okoloną ciemnym zarostem twarz więźnia.

- Bandyta? - powtórzył w duchu określenie ojca, potem

niechętnie spojarzał na strażników.

- Wyjdźcie - powiedział bez cienia emocji.

Nie zareagowali. Otto zwrócił twarz na ojca.

- Słyszeliście? - burknął hauptsturmfuehrer. - Wyjść! Dopiero wtedy zrobili w tył zwrot. Słychać było jednak, że ich kroki zatrzymały się zaraz za drzwiami.

Hauptsturmfuehrer postanowił być uprzejmy. Zrobi to dla syna.

Chłopak wrócił z wojny, należy mu pokazać dobre maniery.

- Jak się pan czuje,panie Kowboj? - zapytał prawie serdecznie.

- Dziękuję, nie narzekam - odparł swobodnie tamten.

- Pozwoli pan, że będziemy rozmawiać po niemiecku - cedził słodko Fuller - bo przyjechał mój syn z frontu, nie zna polskiego, a koniecznie chciał pana poznać.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie poruczniku - więzień zrobił półobrót w stronę młodego Niemca. - Jestem kapitan Kowboj.

Otto zaskoczony ogładą więźnia wstał z miejsca.

- Podporucznik Otto Fuller - przedstawił się i wyciągnął rękę na powitanie.

Kowboj przez moment zawiesił wzrok na otwartych z wrażenia ustach hauptsturmfuehrera, ale tylko przez moment. I zaraz najswobodniej jak tylko było można uścisnął dłoń młodego oficera.

- Dobrze pan mówi po niemiecku - zauważył głośno Otto.

- Chodziłem do niemieckiego gimnazjum na granicy Dolnego Śląska.

- Więc jest pan Niemcem?

- Nie. Jestem Polakiem.

Na chwilę zapanowała kłopotliwa cisza. Ojciec obserwował tylko syna, postanawiając dać mu wolną rękę na najbliższe kilka minut.

- Siadajcie, panowie! - zaproponował wytwornie.

Usiedli. Otto dostrzegł napięcie malujące się na twarzy więźnia.

- Jest pan kapitanem jakiejś armii? - Zapytał z błyskiem w oczach.

- Tak. Jestem oficerem Armii Krajowej.

Hauptsturmfuehrer westchnął i nadął policzki. Otto jednak zdradzał coraz wyraźniejsze zainteresowanie Polakiem.

- Armia... Krajowa nie nosi mundurów?

- Nie. Po pierwsze brakuje pieniędzy, a po drugie - działamy w konspiracji.

- To znaczy... - Otto przywoływał z pamięci jakieś odpowiednio uprzejme słowo, ale żaden właściwy synonim nie zabłysł w świadomości - ... w bandach….

- Nie. - Twarz więźnia rozpogadzała się z minuty na minutę. - Pan porucznik myli pojęcia. Otóż bandy napadły na nasz kraj a my, na miarę skromnych możliwości, staramy się te bandy likwidować.

Otto popatrzył na ojca. Hauptsturmfuehrer z kwaśnym uśmiechem bębnił palcami po stole.

- Nie dosłyszałem nazwiska pana kapitana - zmienił temat podporucznik.

- Nie mamy nazwisk. Mamy pseudonimy.

- Jak to? Dowódcy też nie mają nazwisk?

- Nie. Mamy rodziny. Jeżeli gestapo zna nazwiska naszych żołnierzy, wtedy rodzina ginie.

- Niemożliwe! - Otto wytrzeszczył oczy w szczerym zdumieniu.

- Armia niemiecka nie walczy przecież z kobietami i dziećmi.

- To prawda - przyznał Polak. - Kobiety i dzieci zabijane są bez walki.

- Pan chce mnie obrazić? - wyprostował się podporucznik.

- Nie. Na to pan nie zasługuje. Ale szczegóły najlepiej zna pan hauptsturmfuehrer.

Otto przygryzł wargi. Pomyślał, że chyba nie jest przygotowany do tej rozmowy. Powinien przedtem zapoznać się ze zwyczajami panującymi w regionie. Powinien porozmawiać przynajmniej z ojcem.

- Skąd ten pseudonim: Kowboj?

- Strzelam nie mierząc - z dumą podniósł głowę więzień. - Z biodra. Dlatego utarło się, że kowboj.

- Interesujące! I trafia pan do celu?

- Na ogół tak.

- Co panu grozi?

Kowboj odwrócił twarz w stronę hauptsturmfuehrera. Uśmiechnął się lekko.

- Teraz już nic - rzekł powoli. - Wszystkie groźby mam za sobą.

- Myśli pan, że...

- Właśnie tak myślę.

- Szkoda.

Fuller i Kowboj jednocześnie unieśli ze zdziwieniem brwi. Otto dostrzegł spojrzenia.

- Nie lubię, kiedy umierają ludzie odważni - wyjaśnił. - Podobno zamierzał pan zdobyć miasto?

- Tak.

- Ale chyba nie sam?

- Nie. Miałem stu ludzi ze sobą.

- A ilu żołnierzy liczy garnizon miejski?

- Tysiąc dwustu trzydziestu.

Hauptsturmfuehrer zamrugał szybko oczami. Otto zauważył reakcję ojca.

- Pan zna dokładną liczbę?

- Jestem realistą. Jeżeli organizuję jakąś akcję, to muszę dokładnie znać swoje szanse.

- O szansach nie ma już mowy, panie Kowboj! - wycedził Fuller.

Otto pominął milczeniem uwagę ojca.

- Nie udało się panu? - pytał dalej. - Dlaczego?

- Prawdopodobnie ktoś znał moje plany. Znał je pan hauptsturmfuehrer, zanim przybyłem do miasta.

- To prawda, ojcze?

Fuller przytaknął z zadowoleniem.

- Zabawa jest obustronna - wyjaśnił.

Otto zastanawiał się przez chwilę. Było mu żal Polaka.

- Jest pan chyba wartościowym więźniem - powiedział i zwrócił się do ojca. - Człowiek do wymiany, prawda, ojcze?

Fuller z niesmakiem odwrócił głowę. Za to kapitan uśmiechnął się serdecznie.

- Nie bawimy się w takie uprzejmości, panie poruczniku.

Strzelamy. Bez pardonu! - jego twarz spoważniała nagle. - Nie mamy komnat gościnnych a myślę, że piwnica u pana hauptsturmfuehrera też nie jest hotelem pierwszej kategorii. Nikt z nas nie ma złudzeń. W wolnej chwili niech pan obejrzy miejsce straceń w tym mieście. Podania o życie nikt tu nie pisze.

Hauptsturmfuehrer wyraźnie się zniecierpliwił. Spojrzał na zegarek.

- Niedługo obiad - poinformował syna.

Otto kiwnął automatycznie głową. Fuller nacisnął guzik na biurku. Obaj strażnicy wyprężyli się przy otwartych drzwiach.

Kowboj podniósł się bez słowa. Skłonił głowę przed porucznikiem i ruszył do wyjścia. Drzwi zamknęły się. Ojciec i syn zastygli w milczeniu.

# Rozdział 2.

Budynek komendy policji granatowej mieścił się na skraju miasta, akurat z tej strony, gdzie najlepiej widać było zieleniące się właśnie łąki. Komendant Jan Gabala tkwił w skupieniu za biurkiem i pisał szczegółowy raport o fatalnej pomyłce, do której doszło wczoraj w trakcie aresztowania Ryszarda Zylberta. Zylbert został zatrzymany na gorącym uczynku, kiedy z workiem żywności pod pachą wychodził

przez okno z piwnicy szpitalnej. W trakcie przesłuchania prowadzonego osobiście przez komendanta Gabalę złodziej wyznał, że jego rodzina żyje w skrajnej nędzy i wobec tego musiał zrobić to, co zrobił, bo innego wyjścia nie było.

Gabala natychmiast zlecił dodatkowe śledztwo, z którego wynikało, że Zylbert żadnej rodziny nie ma, natomiast nie jest wykluczony jego udział w partyzantce.

- Na partyzantów jest tylko jeden sposób - oznajmił złodziejowi Gabala. - Przekazujemy ich Niemcom. A wy, Zylbert, wiecie, czym to grozi!

Złodziej uśmiechnął się niepewnie.

- Pan komendant sam najlepiej wie, co zrobić - powiedział, opuszczając nisko głowę. - Ale ja się w wojnę nie bawię.

Gabala długo przyglądał mu się w milczeniu.

- Dlaczego skłamaliście? - zapytał wreszcie, cedząc powoli sylaby.

Zylbert milczał. Gabala sięgnął po dzwonek sterczący na rogu biurka i mocno nim potrząsnął. Drzwi jego gabinetu otworzyły się i do środka wszedł dwudziestokilkuletni człowiek w mundurze.

- Walczak! - rozkazał komendant nie patrząc na podwładnego. - Zrewiduj dokładnie aresztowanego.

- Melduję, panie komendancie, że już to zrobiłem - odparł służbowo funkcjonariusz.

Gabala uniósł głowę i uśmiechnął się pobłażliwie.

- Więc zrób to jeszcze raz. Tutaj.

Rozparł się wygodnie na fotelu, podczas gdy Walczak

przeszukiwał ubranie a Zylbert patrzył spode łba na obydwu policjantów.

- Tu coś jest, panie komendancie! - ożywił się nagle Walczak przebierając palcami po kurtce Zylberta w miejscu, gdzie rękaw wszyty był do części tułowiowej.

Komendant spokojnie otworzył szufladę i wydobył z niej nie wielki sztylet.

- Tnij - powiedział.

W rozciętej tkaninie zajaśniał papier. Walczak w milczeniu wydobył zwinięty rulonik i wręczył go Gabale, który bez przerwy obserwował twarz zatrzymanego.

- No więc jak będzie, Zylbert? - Gabala przeniósł wzrok na rulonik. - Przyznajecie się do swojego udziału w partyzantce?

- Przyznaję się - wybąkał Zylbert i odruchowo wyciągnął dłoń, jak gdyby pragnąc otrzymać z powrotem to, co wyłuskał z jego kurtki młody policjant.

- To dobrze - mruknął komendant przebiegając oczyma po rozwiniętym papierze, nie zwracając przy tym uwagi na wyprostowane ramię Zylberta. - Trzeba was przekazać Niemcom - dodał obojętnie. - Tutaj jest zaszyfrowany dokument, niech się Niemcy z tym męczą.

Sięgnął po słuchawkę telefonu i wykręcił numer.

- Cześć, Hans! - odezwał się jowialnie po niemiecku. - Mam dla ciebie kolejny prezent.

- To się dobrze składa! - głos hauptsturmfuehrera Fullera słychać było wyraźnie w pokoju. - Znowu bandyta z lasu?

- Oczywiście. Za pół godziny będziesz go miał u siebie.

- W porządku, Jan! Zapraszam cię jutro na kolację. Poznasz

mojego syna. Wspaniały chłopak!

- Dzięki, Hans! będę na pewno. Do zobaczenia! Gabala położył słuchawkę na widełki i zwrócił się do aresztowanego:

- Kiepsko z wami, Zylbert. Gdybyście byli zwykłym złodziejem, odsiedzielibyście u mnie przez jakiś czas, uczciwie pracując przy układaniu szosy, ale... - rozłożył ręce w geście znamionującym bezsilność.

- Czy mam go odprowadzić do ratusza? - zapytał Walczak.

- Nie. Zrobi to kto inny. Zawołaj Kozłowskiego.

Przywołany funkcjonariusz stanął po chwili w progu. Gabala wskazał palcem więźnia.

- Za pół godziny człowiek ten ma być u hauptsturmfuehrera Fullera. Tylko uważaj! To partyzant. Gdyby zamierzał uciekać...

- Tak jest, panie komendancie! - Kozłowski przytknął palce do daszka.

- No to... zabieraj go, a Walczak zostanie tu na chwilę.

Był to fatalny dzień dla komendanta Jana Gabali. Jak relacjonował później Kozłowski, aresztowany, który nie miał nawet skutych rąk, wyszarpnął mu się na skraju łąki i zaczął uciekać.

Kozłowski zaś, policjant, któremu partyzanci zabili brata, nie mógł dopuścić do kompromitacji i dwukrotnie strzelił.

A teraz Gabalę szlag trafia, bo okazało się, że zabity partyzant był w rzeczywistości agentem niemieckiego wywiadu, urodzonym na Śląsku, a prawdziwe jego nazwisko brzmiało Sielbert. W szpitalu organizował jedzenie dla swojego oddziału, aby nie wzbudzać podejrzeń, że jest wtyczką. Dzięki niemu udało się już kilka razy rozszyfrować plany partyzantów.

Z pewnością więc viceszefa SS, Adlera diabli wezmą, kiedy się dowie o niepotrzebnej śmierci zasłużonego agenta. Fuller był niepocieszony, żałował, że się nie dogadali z Gabalą, o kogo chodziło. Przysłałby własny wóz po tego Sielberta. Całe szczęście, że ta kolacja i że ten syn - wszystko to razem powinno rozładować przykry nastrój.

Dźwięk telefonu przerwał komendantowi rozmyślania. Podniósł słuchawkę. To znowu Fuller.

- Słuchaj, Jan - zaczął hauptsturmfuehrer - chciałbym cię uprzedzić. Będzie jeszcze trzech gości. Dzwonię, żebyś nie czuł się zaskoczony. Mam nadzieję, że nie popsują nastroju!

- Oczywiście, Hans! Tylko czy tamci trzej nie będą nas niepotrzebnie zanudzać? Bo wiesz...

- Absolutnie nie! - zapewnił Fuller. - Znam ich. To ludzie od gubernatora Franka. Nawet dobrze się składa. Napiszą raport o tej przykrej sprawie tak, jak ja im podyktuję i na tym koniec. A my przy okazji dowiemy się czegoś nowego o sytuacji na froncie zachodnim.

- Zgoda, Hans! Będę o siódmej. Cześć! Przeciągnął się krótko i wezwał Kozłowskiego. Przez chwilę oceniał wzrokiem potężną sylwetkę policjanta aż wreszcie rzekł z niesmakiem:

- Spieprzyliście sprawę, sierżancie, tak?

- Tak jest, panie komendancie!

- A wiecie przynajmniej, jak nas ludzie kochają?

- Melduję, że wiem! - sprężył się podwładny.

- To dobrze. Dobrze, że przynajmniej wiecie. Po zastrzeleniu partyzanta musimy spodziewać się ostrej reakcji tych z lasu.

Trzeba wzmocnić posterunki.